

SPRAWY MŁODYCH

NIE TYLKO

Nr 2

Poznań, 10 listopada 1982

PROSZE O GŁOS

Przygoda z piórem i mikrofonem

Na początku października powstał w Poznaniu pierwszy w kraju, Klub Dziennikarzy Młodzieżowych. Tworzą go młodzi — uczniowie, studenci, robotnicy z całego województwa. O powstaniu i działalności klubu rozmawiamy z prezesem KDM-u — Jarosławem Krajewskim.

— Jego członkowie są najwytrwalszymi uczestnikami seminarium dziennikarskiego prowadzonego, od końca stycznia tego roku, przez Centrum Informacyjne ZW ZSMP w Poznaniu. Podczas zajęć szkoleniowo-warsztatowych poznawaliśmy tajniki dziennikarskiego fachu. Wielu z nas, w trakcie tych spotkań, zrezygnowało. Została jednak grupa ludzi, dzięki której powstał nasz klub.

— Jak wygląda najbliższa przyszłość w waszej działalności?

— Łada dzień startujemy z nowym programem szkoleniowym dla naszych nowych kolegów, a chcemy pójść w dwóch kierunkach. Pierwszy to głębsze poznanie, jakże trudnego, warsztatu dziennikarskiego. Drugi — myślimy o coraz lepszym i głębszym przedstawianiu spraw ludzi młodych czyli nas samych. Warto również wspomnieć, że naszą działalnością zainteresowały się inne ośrodki w kraju. W najbliższym czasie powstanie filia KDM we Wrocławiu i być może w Gdańsku.

— A jak przedstawia się współpraca z redakcjami gazet poznańskich i centralnych?

— Mamy dużą pomoc ze strony „Gazety Poznańskiej” (wychodzi tutaj nasza kolumna młodzieżowa) „Głos Wielkopolski” oferuje konkretną pomoc i miejsce na swoich łamach. Natomiast tytuły centralne wykazują absolutną obojętność i nie chcą nas, oraz naszych tekstów, zauważyć.

— Wróćmy może do samego klubu. Jakże sekcje w nim istnieją?

— Swego czasu istniały w trakcie trwania seminarium, dwie grupy zainteresowań: radiowa i prasowa. Prasowcy nabrali rozpędu, natomiast radio jakoś się wykrużyło. Mamy jednak nadzieję, że w nowym roku szkoleniowym radio znów zagości na naszych zajęciach.

— Kto może zostać członkiem Klubu Dziennikarzy Młodzieżowych?

— Przede wszystkim trzeba do nas przyjąć. Wykazać chęć działania i pisanie lub nagrywanie. Korzystać z prowadzonych przez nasz klub zajęć szkoleniowo-warsztatowych.

— Czy kandydat musi spełniać jakież określone warunki?

— Członkiem naszego klubu może zostać każdy, bez względu na poziom wykształcenia, światopogląd czy też płeć. Nie to przecież jest najważniejsze. Najważniejszą rzeczą jest bowiem pisanie — gorzej czy lepiej, ale pisanie.

— A co teraz dzieje się w waszej grupie?

— Trwa nabór i organizacja nowego, rocznego seminarium dziennikarskiego. Do udziału w nim zapraszamy wszystkich chętnych i zainteresowanych tą działalnością. Wszelkie informacje, na ten temat, udziela Centrum Informacji ZW ZSMP w Poznaniu, Plac Wolności 18, tel. 555-83.

Rozmawiał: MIROSLAW ONOSZKO

Autor jest członkiem Klubu Dziennikarzy Młodzieżowych przy ZW ZSMP w Poznaniu.

Dzisiaj kartka — ZIELONA

O co mu chodzi?

Trudno oddzielić tutaj sprawę od konkretnego człowieka, kiedy właśnie dzięki niemu ta idea, ze wszech miar warta poparcia, rozrasta się, zyskując coraz to nowych zwolenników.

Sprawa jest znana. Rozpogawalał ją zwłaszcza jej inicjator, który nie zapomniał, że w czasach studenckich był dziennikarzem. Pisał też o tym „Głos” i inne czasopiśma, pokazywano w telewizji. Nie będę więc niczego powtarzał. Interesuje mnie tutaj mechanizm aktywności społecznej. Tej aktywności, której tak dzisiaj brakuje, zwłaszcza młodzieży. Dotyczy ona nie organizowania dyskoteki czy rajdu turystycznego, lecz sprawy stokroć ważniejszej. I stokroć trudniejszej, z organizacyjnego choćby punktu widzenia.

W tym miejscu jako swoiste motto zacytuje fragment wystąpienia sejmowego posła Wacława Auleytnera, który przedstawiając naszemu parlamentowi projekt ustawy w sprawie inwalidów i osób niepełnosprawnych powiedział: „Kultura społeczeństwa wyraża się między innymi stosunkiem do najsłabszych jej członków; najdłuższą jej potrzebą jest właśnie pomoc dla młodzieży, jeśli jej wychowanie ma się opierać na zasadach głębokiego humanizmu...”

To właśnie — wypisz, wymaluj — odnalazłem w Konińcu.

Obecnie ciągle rozważana jest kwestia zdobycia fortecy pod nazwą młodzież. Wątpię w powodzenie jakkolwiek pomyślanego szturmu. Przecież w zeszłym roku oglądaliśmy fenomen frontalnego podboju młodzieży, znany więc ten mechanizm, ten sposób: nosi on nazwę oszustwa. Musi ono schlebiać nastrojom. Istnieje zaś po prostu konflikt pomiędzy historycznym interesem narodu i państwa, a obecnym nastrojem aktywnej części wielkopolskiej młodzieży i młotami zalegającymi jej głowy.

Ani nie umiemy wymyślić jakiegoś mistycznego szalibierstwa, ani tego nie chcemy, zresztą nie byłoby ono skuteczne w wykonaniu władz tego kraju. Każdemu guru od kontemplacji łatwiej byłoby niż Jaskierni skutecznie wezwać obrażone pokolenie do pomachania skrzydłami, bo oto lecimy prosto do krainy marzeń.

Jakież my mamy porwijące prawdy na wabi? Ze jak będziemy zdyscyplinowani, skromni i pracowici to za parę lat osiągniemy poziom życia z 1979, czyli roku, kiedy to właśnie narodziło poczucie u młodych poczucie materialnego upośledzenia? Ze swobody i spontanicznej odruchy muszą być tak zlimbowane, aby wspierały racjonalny program państwa miał znów zagrażać jego burzycielstwem? Ze potrzebna jest ostrożna polityka drobnych kroków? Ze jeżeli się robi dwa kroki w przód — jeden w tył, to to już także jest postęp? Ze cierpliwie trzeba wyciągać wnioski jednocześnie z błędów władzy i szaleństw jej przeciwników, aby konstruować i eksperymentować program ewolucyjnego rozwoju? Ze Polskę trzeba moźalnie przeznosić z tego nieokreślonego

Gdyby zapytać w instytucjach coś niecoś w Konińskim znaczących o doktora Piotra Janaszka (a niemal wszyscy go tu znają), to uzyskają się na ogół dwie odpowiedzi; albo znaczący ruch palcem po czole lub — czę-

Dziennikarskim obowiązkiem jest być blisko i obserwować; przywilejem i powinnością — oceniać. Będziemy przyznawać nasze złone, żółte i czerwone kartki tym, którzy naszym zdaniem na nie zasługują. Dzisiaj — kartka zielona Dla człowieka, „który się bzdurom nie kładzie”.

— szepem wypowiediane zdania:

— O co temu człowiekowi chodzi? O stanowisko dyrektorskie? O medal?

I niewiele uwierzy, że chodzi mu o coś, co w największym skrócie określić można jako uśmiech dziecka. Dziecko przez los pokrzywdzonego najbardziej, dziecka — kalekę. Straszny jest los tych ludzi po urazach mózgowych i urazach kończyn, a zwłaszcza tych najdotkliwiej naczynionych chorobą — z postępującym zanikiem mięśni. Nie pokuszę się nawet o opis, bo pewnie bym nie potrafił... I nie o to mi chodzi. Piotr — tak go będę nazywał, bo zna-

my się jeszcze z czasów studenckich — spróbował ubarwić dzieciom i młodzieży czas cierpienia jednym miesiącem w roku, ale diametralnie różniącym się od pozostałych jedenastu. Dla nich jest to odzwierciedlenie się od codziennej szarości; dla Piotra — lekarz również czas intensywnej rehabilitacji.

Kiedy pięć lat temu rozpoczęła organizację letnich obozów rehabilitacyjnych dla dzieci niepełnosprawnych do lat 15 i — oddzielnie — dla młodzieży starszej, trudnościami było co niemiara. Sam wie najlepiej, ile musiał pokonać kłopotów organizacyjnych, aby dopiąć swego...

Z czasem wiele zmieniło się na korzyść. Przyjęcie Piotra przez I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR — Lecha Ciupę znaczyło w oczach urzędników więcej niż to, co załatwił w czystym gabinecie. A załatwił sporo. Wówczas koniński wyasygnował 6 milionów złotych na remont i adaptację ośrodka dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej w Mielnicy koło Skulska, malowniczo położonego nad jeziorem Gopło. Z pomocą pospieszyły dyrekcje niektórych konińskich zakładów (niezbyt ostatnio skorych do działalności charytatywnej, bo reforma i samofinansowanie w oczach niektórych

Dokończenie na str. 2

LESZEK ADAMCZEWSKI

miejsca, które jej przeznaczono w wyobraźni zbiorowej roku 1981 w realne, geograficzne miejsce na ziemi jakie rzeczywistość zajmują? Ze sprawiedliwych stosunków nie można wyklaskać ani uchwalic, bo wymaga to lat pracy prowadzących przy wszechobywatelskiej współpracy? Ze do osiągnięcia ideałów można się tylko zbliżyć a i to trwa długo, zaś wymaga bardzo pragmatycznie skalkulowanych działań? Ze od trudnych spraw Polski nie

Krzysztof Teodor Toeplitz przewiduje zaś, że pokolenie dzieci, ludzi dzisiaj młodych, wystawi kiedys rodzicom gorzki rachunek za szaleństwa „Solidarności”, za irracjonalizm polityczny i światopoglądowy.

W tym historycznym momencie nie ma zdań, które by zabrzmiały pięknie niż hasła demagogów, nie istnieją socjotechniki, zdolne odwrócić kierunki emocji. Niczego nie można zdziałać słowem, pieśnią ani czarownym

„Po to zostały dane prawa, aby silniejszy nie mógł wszystkiego”

Owidiusz



Fot. — R. K...

Szczęście na kredyt bez pokrycia

Iść, ciągle iść w stronę... sklepu

Marek J. gotów jest wykonać najczarniejszą robotę nawet pozmywać naczynia i wyprać pieluchy, byle nie musiał robić zakupów. Nie znosi chodzenia po sklepach. Nigdy nie lubił, nawet wtedy, gdy były pełne towarów. Agata, jego żona jest nieustępliwa i po kobiecemu zapobiegliwa; każda handlowa sobotę wybierają się na zakupy. W ciągu tygodnia muszą opiekować się córeczką — jeden tydzień — ona przed południem, on po południu, drugi — ona idzie do pracy na popołudniową zmianę, a on rano. Wspólnie pozostają im wolne soboty i niedziele.

Agata zwolniła męża od wędrowek po sklepach, lecz książeczka czekowa kredytu dla młodych małżeństw wystawiona jest na imię Marka i on osobiście musi dokonywać zakupów. Chodzą więc, a właściwie biegają po sklepach, zaś pieniądze nie ubywa. Kredyt dla młodych małżeństw przyjeżdża z ulgą. Obydwoje pochodzą z rodzin, które oprócz błogosławieństwa na no-

wą drogę życia niewiele mogły im dać. Kredyt dla nich stanowi jedyną pomoc, aby się jako tako urządzić. Agata zrobiła planową listę zakupów, kupuje jednak nie według planu, lecz to co dostaje. Wymarzyła mełbościankę „Kujawy”, kupiła „Grażynę” — bo tylko taka była. „Grażyna” jest nieefektywna i pewnie rozleci się wcześniej niż spłacać kredyt, ale trudno. Bielizny pościelowej mogą kupić tylko 4 komplety, a ręczników 6 sztuk. Dobrze, że wcześniej kupiła prześcieradło kąpielowe dla dziecka.

Irena i Marcin odwiedzają sklepy dość często. Kto nie szuka ten nie znajduje — mówi Marcin. Oni znaleźli mełbościankę „Kujawy”, która odpowiada ich gustom. Mieszkanie mają prawie urządzone. Brakuje im jeszcze pralki automatycznej. Może uda się ją zdobyć. Irena twierdzi, że kredyty są do zrealizowania dla tych, którzy mają dużo czasu.

Dokończenie na str. 2

BARBARA GRZEGORZEWSKA

daje się dokonać żadnego pokoleniowego przewrotu. Pragmatyki służbowe wciąż wiążą awanse głównie z wysługą lat. Kadrowcy preferują ludzi starych, pewnych i doświadczonych. Różne racje stają przeciw wylęczeniu o zapewnieniu młodym awansowej przygody. Racja sprawiedliwości oparta na poglądzie, że człowiek, aby kierować musi się pierwszej zasługi. Racja, która powiada że powierzenie miedoswiadczonego czegoś ważnego niesie ogromne ryzyko. Racja taka, że sięganie po młodych jest dobrem dokonywanym w ciemno, bo zdolności i możliwości człowieka poznaje się latami, gdy on stopniowo poszerza skalę swej odpowiedzialności i pole działania. Kierownik musi też wyrastać z utworzonego w placówce pracy układu, inaczej zwykle burzy i antagonizuje ów układ, łamiąc sobie przy tym gnaty.

Wszystkie te racje są rozumne, tylko przeciwko nim przemawia historyczna konieczność: albo szybko młodemu pokoleniu przekazać się znaczną część odpowiedzialności za państwo i życie społeczne, albo je się pozostawi w obrębie postaw nieodpowiedzialnych. Zagraża to państwowej i polityczno-społecznej budowie silniejszej, niż uczestnictwo nieopierzonych.

Typowy odruch kadrowca wiąże się na przykład z politycznymi kryteriami doboru: protego-

wanie do awansu natchnionego fanatyka „Solidarności” zagraża ładowi w instytucji i celom jej funkcjonowania. Jednakże przeciwień silniejszą funkcją przemienia człowieka, niż człowiek funkcje. Nadto nie ma innego sposobu przekształcania nieprzytomnych szaleńców w rozumnych realistów, niż wchłonięcie ich przez organizmy, którymi rządzi celowość i pragmatyzm. Dźwigną odpowiedzialność wyklucza życie miłami. Ciśnienie różnych konieczności ściga z obłoków na ziemię. Nie dlatego wśród dyrektorów fabryk brak anarchistów, kontestatorów, i mitomanów, że polityka kadrowa zjednoczeń i ministerstw nie dopuszczała do urzędów ludzi, którzy mogliby kiedykolwiek poczuć taką skłonność, tylko dlatego, że funkcja kształtowała ich wszystkich dosyć podobnie i w innym kierunku.

To państwo polskie, tę gospodarkę te wszystkie nasze dramatyczne dylematy i uwikłania trzeba zwałić na głowę młodemu pokoleniu nie ze względu na jego walory, tylko ze względu na jego wady. I nie z miłości do młodzieży musimy to uczynić, lecz z wręcz odwrotnych motywów. Młodość jest to choroba, w której bez udziału medycyny osiąga się 100 procent uleczeń. Ale to trwa latami. Istnieje wszakże przykre lekarstwo, które o zdrowieńczy proces przyspiesza, a nazywa się ono: władza.

Wystrzegać się będziemy przedruków. Wydaje nam się, że mamy dostatecznie dużo samy do powiedzenia. Zdecydowaliśmy się wszakże na druk znacznych fragmentów „Kuracji” Jerzego Urbana, zamieszczonej w 20 numerze tygodnika „Tu i Teraz”. Uważamy, że dawno już w prasie polskiej nie pojawił się tak zasadniczy tekst o sprawach nie tylko młodych. Zawiera on wiele wcale nie prostych pytań. (red.)

NIEPROSTE PYTANIA

Kuracja

ma ucieczki ani w prywatność, ani w podziemie, ani w religie, ani do własnego sklepiku czy na emigrację wewnętrzną? Ze nawet emigracja prowadzona niekoniecznie bywa równoznaczna z udatną ucieczką?

Gdy się mówi to wszystko, co jest prawdą, młodzi niecierpliwcy odwracają się plecami. Oni bowiem muszą doświadczyć jeszcze i dalszego biegu zdarzeń, żeby zrozumieć istotę swych pomysłów. Zrozumieniu zaś sprzyjać będzie pewien psikus natury zwany starzeniem się, we wczesnych stadiach okreśiany jako dojrzewanie. Taka jest odpowiedź opozycjonistom którzy twierdzą że sama biologia gwarantuje przegraną ludziom władzy, ponieważ zbuntowana młodzież będzie żyła dłużej. Otóż nieprawda! Pokolenie dzisiejszych młodych będzie żyło dłużej, lecz nie w postaci zbuntowanej młodzieży.

obrazem. Poglądy mogą się zmieniać tylko pod wpływem doświadczeń, doświadczać zaś można tylko uczestnicząc. W dzisiejszym świecie najważniejszą formą poważnego uczestnictwa stanowi działalność zawodowa. Wszyscy mówią, że młodym trzeba powierzać odpowiedzialność i to jest prawda, tylko niestety wyłączenie slogan. Tylko praca związana z odpowiedzialnością za sprawy i ludzi ukazuje świat realny w jego skomplikowaniu, pokazuje w jakich prawdziwych ramach obracają się możliwości człowieka, gospodarki, państwa od czego co zależy, co można a czego nie. Tylko odpowiedzialność ponoszona realnie za fabrykę, czasopismo, wydział, sprawę, podwładnych, penitencję, za dom, za samolot, za wycinek zdarzeń uczy odpowiedzialności moralnej i politycznej.

W praktyce personalnej nie u-

O co mu chodzi?

Dokończenie ze str. 1
dyrektorów na to ponoć nie pozwala), a także wojsko oraz Wojewódzki Dom Kultury. Stałą pomocą służy lekarz wojewódzki w Koninie. Mógłby zatem ktoś napisać — lańcuch ludzi dobrej woli. Zgoda, ale lańcuch ów służy i Piotr mierzalnym wysiłkiem kilku lat.

Sam Piotr niewiele by zrobił przy tak wydatnej pomocy różnych organizacji i instytucji, a nawet poparcia liczących się w świecie autorytetów, by wymienić choćby papieża Jana Pawła II czy profesora Wiktora Dege. Potrzebni byli nie tylko sprzymierzeńcy, ale i wykonawcy. Po prostu kadra obywateli organizowanych w Mielnicy pod patronatem Oddziału Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Walki z Kalectwem w Koninie, któremu Piotr przesyła.

Słowo „kadra” niewiele ma w tym przypadku wspólnego z normalnymi obywatelami młodzieżowymi. W Mielnicy nie robi się na niby, trzeba tam mieć pełny, wręcz całodobowy kontakt z pacjentami, pomagać im praktycznie we wszystkim. Z tego trudnego zadania dobrze wywiązali się słuchacze Akademii Wychowania Fizycznego z Poznania i Katowic oraz uczenice Liceum Medycznego z Konina. Poza wszystkim była to dla nich nieoceniona sposobność autentycznej praktyki zawodowej.

Piotr lubi chyba kłopoty. Wymyślił sobie bowiem, że aby osiągnąć zamierzony cel obywateli, muszą się one odbywać nie tylko na wzór harcerski, ale i z udziałem młodzieży zdrowej.

Integracja dzieci kalekich — mówi — ze środowiskiem ludzi pełnosprawnych jest nieodzownym warunkiem powodzenia tego przedsięwzięcia. Nie osiągnie się tego w najlepiej nawet zorganizowanym i wyposażonym szpitalu czy sanatorium, których brakuje. Jest to ponadto najtańsza forma rehabilitacji młodzieży niepełnosprawnej. Takie obozy potrzebne są nie tylko inwalidom, ale również młodzieży zdrowej, która w Mielnicy wychowuje się w poszanowaniu potrzeb ludzi niepełnosprawnych i rozbudza się w niej idea humanitaryzmu, które ostatnio mocno się w naszym społeczeństwie zdezawuowały.

Razem więc z dziećmi 1

młodzieżą niepełnosprawną przebywali w Mielnicy harcerze ze szczerpu imienia harcmistrza Franciszka Firlika, działającego przy poznańskim Liceum Ogólnokształcącym im. Ignacego Paderewskiego oraz młodzież „Czerwonoakryska” z Warszawy i Gdańska. Była to dla nich najlepsza lekcja wychowania, również obywatelskiego.

Ale — by wszystko nie przebiegało zbyt łatwo — odezwali się zza tomów z przepisami rygorystycznymi urzędniczy: — Tak nie wolno. Nie zezwala na to przepis o stawce żywieniowej. Chorym przypada więcej, zdrowym mniej. Jak to pogodzicie na wspólnym obiedzie?

Gdyby Piotr miał się przejmować takimi i podobnymi głosami, a nawet specjalnie nasyłanymi kontrolami, uparcie szukającymi dziury w całym, nie by nie zrobił.

III

Dlaczego to robi? Pytanie to musiałem w końcu postawić. Ma wszak pracę zawodową, własną rodzinę, swoje codzienne kłopoty i radości.

— Robię to, bo lubię to



Fot. — A. Sienkowski

tak, jak ktoś lubi na przykład łowić ryby. Pasjonuje mnie zwłaszcza przełamywanie piętrzących się na tej drodze kłopotów i trudności, setek wykluczających się nie-rzadko przepisów, zakazów i nakazów. A poza tym sam się w tej pracy sprawdzam. Czy jeszcze potrafię coś zrobić więcej?

Wspólnie z zespołem ludzi oddanych sprawie zajmuje się teraz rozbudową ośrodka rehabilitacyjnego w Mielnicy Pomaga w tym młodzież 70-wspomnianych już liceów: poznańskiego i konińskiego. W październiku uporządkowali teren ośrodka, zasadzili drzewa i krzewy. Rozbudowa Mielnicy i urzędzenia tam stałego ośrodka rehabilitacji zainteresował Piotra Główna Kwaterę ZHP i Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej (większość inwalidów to młodzież pochodzenia wiejskiego), a także najwyższe władze państwowe i kościelne. Przewodniczącą Rady Państwa — profesor Henryk Jabłoński nadał na przykład, oprócz serdecznego listu z poparciem, również sporą sumę pieniędzy.

W ośrodku zamierza Piotr organizować szkolenie zawodowe młodych inwalidów ze wsi, połączone z rehabilitacją leczniczą.

— Brakuje w kraju — mówi — jednolitego systemu rehabilitacji zawodowej i społecznej inwalidów. Nieliczne spółdzielnie działają na ogół w miastach. A na wsi? Ludzie niepełnosprawni daleko dojeżdżać do pracy nie mogą. Pozostaje więc to, co jest za oknem: pole, ogród. Sadzę, że już wiosną przyszłego roku zorganizujemy w Mielnicy przy współudziale Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Kościelcu pierwsze takie kursy. Możliwość w tej dziedzinie jest wiele: uprawa pod folią, pszczelarstwo, hodowla zwierząt futerkowych... Ich warsztat pracy można wyposażyć (w zależności od sytuacji materialnej zainteresowanego) częściowo lub nawet całkowicie z funduszu aktywizacji zawodowej inwalidów.

Na przeszkodzie stanęłyby znowu nieżywcioze przepisy. Ktoś kiedyś wymyślił, że kursy takie można organizować tylko dla młodzieży starszej, dobiegającej trzydziestki. Nie wziął jednak ten ktoś pod uwagę specyficznej sytuacji młodych inwalidów.

Piotr jest jednak optymistą. Był nim zresztą zawsze. Wiedząc dobrze czego chce, nie takie przepisy omiada. Gdyby się tylko na nie oglądał, nie by nie zrobił.

LESZEK ADAMCZEWSKI

Iść, ciągle iść w stronę... sklepu

Dokończenie ze str. 1

Krzyszyna i Andrzej P. sądzą, że przed jej minie 18 miesięcy (po przedłużeniu) terminu ważności książeczki kredytowej MM niż dokonają zakupów. Ostatnio w „Okraglaku” mogli kupić trochę bielizny pościelowej i wzorzysty len na zasłony. W sklepie z artykułami dekoracyjnymi bielizny pościelowej już nie było, z firanek pozostały resztki, a po dywanu kolejka ustawiła się w sobotę, by zdążyć na otwarcie sklepu w poniedziałek. Dywanem było sto czterdzięści. Lecz rajd po mieście i tak uważają za udany, bo w „Salonie Jedwabiu” przy placu Wielkopolskim wybór firanek był duży i kolejka prawie żadna — zaledwie trzydziści osób. Tamtego dnia zdążyli jeszcze spenetrować sklep meblowy przy ul. Racionalizatorów, chociaż był to obchód zbytnie czysty, bo „sklep prawie pusty.

Gdyby tak wzorem Warszawy przeznaczyć w Poznaniu jeden sklep, albo część domów towarowych — „Okraglaka” czy Alfy na sprzedaż dla młodych małżeństw, o co nie może doprosić się od Wydziału Handlu Zarząd Wojewódzki ZSMP, zakupy byłyby łatwiejsze i szybsze. Inaczej trzeba gonić po całym mieście, bo meble kupuje się w czterech sklepach, dywany w dwóch, lodówki w jednym, a resztę — sprzęt gospodarstwa domowego, pościel, ręczniki, zasłony, serwety — gdzie popadnie. Nie obowiązują żadne przepisy umożliwiające posiadaczom kredytu „MM” kupno z listy. Czasem sklepy otrzymują przesyłki z adnotacją towar dla „MM”, gdy takiej adnotacji nie ma, dzieli się ogólna pula towaru — połowę dla zwyczajnych klientów, 25 proc. dla młodych małżeństw, które się wpisały na listy (kiedy takie listy) i 25 procent dla młodych małżeństw z czekami, bez listy. Ostatnio do uprzywilejowanych należą również posiadacze bonów za makulaturę.

Ci, którzy niedawno stali się właścicielami czeków MM, wzdychają do list gwarantujących nabycie wybranych przedmiotów. „Szczęśliwcy” którzy wpisali się na listy zamartwiają się, co będzie, gdy minie termin ważności kredy-

tu, a kolejka na liście ani myśli drgnąć. Maria Swiergieł, zastępca kierownika sklepu meblowego przy ul. Głogowskiej ma listę czterdziestu potencjalnych nabywców na komplet meblowy „Rotterdam”, tyleż samo, lub trochę mniej na komplety „Kopernik”, „Kujawy”. A iż wiadomo, że „Kopernik” nie będzie, zaś „Rotterdamów” o-trzymuje 40 na kwartał. Teraz otrzymała 12 kompletów „Wisła”, z których na listę dla MM przypadły 3 zestawy i tyleż samo dla aktualnych posiadaczy czeków MM. Najłatwiej zrealizowano listy zakupów sprzętu radiowo-telewizyjnego, maszyn do szycia, lodówek.

Za półtora roku — od stycznia 1981 do lipca 1982 w Poznaniu pobrano 296 659 000 zł na czeki „MM”. Zakupione towarów za 102 mln zł.

Młodzi twierdzą, że z tymi kredytami to wpuszczono ich w maliny, od samego początku, od 1975 roku, bo najpierw obowiązywała klauzula wieku — dla obojga po 35 lat i 6 procent odsetek, potem zmieniono przepisy — jedno musi mieć do 30 lat, drugie 35 lat, a odsetki obniżono do 3 proc. i po krótkim czasie podwyższono do 6 procent. Zmieniono też zasady zakupów. Najpierw wolno było kupować wszystkie artykuły — luksusowe również (te nieszczęsne kolorowe telewizory i stereofoniczne magnetofony) na specjalne listy. Następnie, pod presją opinii publicznej ustalono nowe listy — bez drogich mebli, telewizorów kolorowych i również bez dużych lodówek. Widocznie ktoś tam uznał, że dla przydziałów kartkowych lodówka jest niepotrzebna. Przy takiej huśtawce przepisów skorzystał ten, kto szybko brał i realizował kredyty niezależnie od potrzeb. Obecnie MM to czeka w znacznej mierze bez pokrycia. Niby preferencje są, lecz praktycznie kredyty nie można wykonywać, bo niema towaru i handel go nie gwarantuje.

Teraz, gdy kredyt podwyższono do 150 000 zł i zakład pracy umorzy połowę tej sumy, pod warunkiem, że młody człowiek pięć lat przepracuje nienagannie, opłaca się korzystać z niego. Przede wszystkim tym, którzy mogli-

by się bez niego obejść, którzy są zagospodarowani, co-kołwiek kupią i tak zapłacą za to tylko połowę, a przy tendencjach inflacyjnych jeszcze mniej.

Kredyty dla młodych małżeństw spotykają się z krańcowymi ocenami. Padają opinie, uzasadnione, że kredyt jest właściwie prezentem, nagrodą za datę urodzenia, bo nienaganna praca to przecież obowiązek i trzeba być wyjątkowym leniem, aby narazić się na złą opinię w zakładzie pracy. Kto nam dał taki prezent? — pytają starsi pracownicy. Nie mam zamiaru robić podarunków. To że kredyty spłacane przez zakład wlicza w koszty tego, co przedsiębiorstwo produkuje — nie przekonuje. Tak czy owak prezent pozostaje prezentem. Ludzie na dorobku — dowodzą — nie kupują najdroższych mebli i dywanów. A młodzi na to, że kupują raz na całe życie, bo biednych nie stać na tandetę. Zapewne gdyby nasz rynek był stabilny, to i zakupy na MM wyglądałyby inaczej. Prawda jak zwykle leży pośrodku.

Państwo wprowadziło kredyty jako pomoc dla najsłabszych ekonomicznie, najbardziej narażonych na skutki kryzysu. Cokolwiek byśmy powiedzieli o niedoskonałości „MM”, to dla pewnej grupy młodych są one jedyną szansą. Czy wolno ich tej szansy pozbawiać? Trzeba natomiast coś zrobić, aby pozbawić kredytu tych, którzy dokonali le mogą się bez niego obejść. Najpewniejsze wydaje się ponowne przeanalizowanie listy zakupów. Robiono już to tyle razy, można jeszcze raz. Na całym świecie mieszkania urządziła się przez całe życie, na całym świecie pierwsze wnętrza młodych standardem i stylem odbiegają od wnętrza ich rodziców. Kredyt według dotychczasowych zasad powinien umożliwiać nabycie wyliczone podstawowych dóbr.

Ten kredytowy prezent stał się końcem niezgody. A swoją drogą chciałoby się westchnąć, gdzie te czasy, kiedy panna młoda w posagu otrzymywała bielizny pościelowej sztuk 24, serwety tyleż samo, porcelany, serwisów ileś tam, meble i... a pan młody mieszkanie.

BARBARA GRZEGORZEWSKA

Przeglądającemu węgierską prasę rzuca się w oczy bardzo duża liczba publikacji poświęconych problematyce młodzieży, której sprawę wychowania szkolnego, startu życiowego, pracy, postaw, ciężkich warunków mieszkaniowych nie od dziś nurtują tutaj społeczność. Nie można powiedzieć, aby z tych materiałów wylaniał się zbytnio optymistyczny czy sielankowy obraz.

Szczególne „baty” dostają się szkole, która — zdaniem opinii publicznej — nie przygotowuje chłopców i dziewcząt do samodzielnego, odpowiedzialnego życia w społeczeństwie socjalistycznym. I tak dziennik „Nepszabadsag” dochodzi do wniosku, że w minionych dziesięcioleciach gwałtownie spadła rola szkoły w kształtowaniu człowieka. Szkoła ma własny program wychowawczy, z którego nie do zrealizowania. Można w nim wyczytać, że jednym z głównych celów wychowania jest bezkonfliktowe zasymilowanie się dorastającego pokolenia w społeczeństwie, co z jednej strony jest iluzją, bo nie można wykluczyć przecież konfliktów, z drugiej strony byłoby szkodliwe, gdyż już w najmłodszym wieku muszą się nauczyć podchodzenia do spraw konfliktowych, albo w przeciwnym razie przegrają swą walkę życiową. Długość bledem — zauważa gazeta — wykluczenie napięć świata ze szkoły, ponieważ nie jest ona ciepłarnią, do której docierają jedynie promienie pozytywne, a szkodliwe — nie.

Szkoła przenosi odpowiedzialność na otoczenie — ro-

Iluzje są dobre lecz w iluzjonie

Korespondencja z Węgier

dzinę, ulicę, TV, radio, kino, słowem na innych. Tym samym w zasadzie przyznaje się do własnej bezradności, a przecież nie może uniknąć wyzwania. Szkolny program wychowania — zaznacza dziennik — zawsze pozostanie abstrakcją, jeśli nie będzie w stanie wyposażać uczniów w odpowiednią strategię działania na co dzień dostosowaną do powszedniego życia. Dziecko nie wymaga, by za nie działano, lecz by pozwolono działać samodzielnie.

Szkoła zaś właśnie wskutek zbyt wielu pomocy tarasuje mu prawidłową drogę i sprowadza na błąd. „W dobrych zamiarach pracujemy za dziecko, myjemy je, ubieramy, karmimy. Co więcej, później też uważamy je za niezaradne na tyle, że staramy się za nie „przeżyć” pokarm umysłowy. W szkole przywiązujemy dziecko do ławy szkolnej, staramy się wyeliminować wszystkie jego błędy, zlamać jego własną wolę, by tylko było „dobre”. Dażymy do tego, by nauczyć je, jakie ma mieć poglądy, a nie uczymy je, jak powinno kształtować własne poglądy.”

Natomiast miesięcznik „Kritika” uważa, że niejasność wartości i norm, kłamliwe iluzje o rzeczywistości rysowane w szkole wyciszanie rzeczywistych konfliktów społecznych, wszystko to przeszkadza młodzieży w przygotowaniu się do zaoczenia konfliktów, do

ich rozwiązywania i w ogóle w przygotowaniu do życia po ukończeniu szkoły.

Inny poważny problem, według pisma, polega na tym, że uczniowie wielu zawodów dochodzą do wniosku, że społeczeństwo nie potrzebuje specjalistów w danej dziedzinie, czy też oczekuje ich zatrudnienia poniżej możliwości zawodowych. Ta niestabilność daje się odczuć w obecnej sytuacji gospodarczej, kiedy to sytuacja na rynku siły roboczej jest dość niepewna. Dobrym przykładem tego stanu rzeczy może być sytuacja inżynierów i w ogóle inteligencji technicznej. 40 procent inżynierów nie pracuje na stanowisku wymagającym dyplomu politechniki, a jednocześnie 40 procent stanowisk inżynierskich jest obsadzonych przez ludzi z niższym wykształceniem. Nie każdemu też przypada w udziale samodzielna, twórcza praca. Wielu wykonuje więc pracę jedynie formalnie związaną z posiadaniem odpowiedniego wykształcenia. Młodzież uważa za bezsens i marnotrawstwo wkładanie w taką pracę więcej energii. Pracuje na półobrotach. Zdaniem młodych, jak wynika z badań opinii publicznej, w minionych latach uległy pogorszeniu możliwości zatrudnienia i w następnym proces ten będzie się

pogłębiał. Odnosimy wrażenie — pisze „Kritika” — że młodzi mają mało możliwości wypracowania sobie samodzielnego, sensownego programu życiowego, który mogliby krok za krokiem realizować.

Szeroki wgląd w problemy młodzieży dał referat, który wygłosił na sesji naukowej pt. „Węgierska młodzież a społeczeństwo w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych” dyrektor naczelny Instytutu Nauk Społecznych przy KC WSPR, Istvan Huszar. Referat ten opublikował dziennik „Nepszabadsag”.

Istnieją liczne oznaki — powiedział Huszar — wskazujące na to, że procesy i zjawiska, które cechują rozwój wydarzeń lat osiemdziesiątych, wprowadziły zamieszanie, spowodowały dezorientację wśród młodzieży, a przynajmniej w jej znacznych rzeszach. Dziś młode pokolenie rośnie w okresie dynamicznego rozwoju społeczno-gospodarczego, poprawy stopy życiowej i rozszerzenia się demokracji społecznej, chronione przed pryncyplem dramatycznych sprzeczności i kataklizmów społecznych. Wszystko to może zwiększać specyficzne trudności w sytuacji młodzieży.

Do tych trudności Huszar zaliczył niezbieżności między

dążeniami, a możliwościami dalszej nauki i zdobywania zawodu, kłopoty ze startem zawodowym i zatrudnieniem w niektórych zawodach, niedostateczne uznanie materialne młodzieży z wyższym wykształceniem, w wielu przypadkach bardzo powolny awans zawodowy, problemy ze zdobyciem mieszkania. Zdaniem Huszara, stwarza to sytuację, na którą społeczeństwo musi zareagować po nowemu, trzeba przemyśleć niektóre podstawowe zasady polityki młodzieżowej.

Huszar wyraził przekonanie, że postawa społeczna młodzieży, stan jej świadomości oraz stosunek do ustroju socjalistycznego WRL ogólnie rzecz biorąc jest pozytywny. Nie można doświadczyć powszechnych i wywołujących obawy napięć politycznych. Młodzież masowo bierze udział w kształtowaniu i realizacji programów społecznych. Niemniej ten ogólny i uznany za zadowalający obraz nie powinien tać na przykład faktów, jak ten, że prawie we wszystkich warstwach młodzieży można zaobserwować bierność polityczno-publiczną, odwracanie się od organizacji społecznych, w tym od działalności organizacji młodzieżowych. Musimy dostrzec — oświadczył Huszar — że system i praktykę przekazywania i dowodzenia słuszności naszych idei cechuje chroniczna słabość. Może to właśnie tłumaczy, że

pewne grupy młodzieży, od czasu do czasu, mogą ulegać obcym wpływom i ideom opozycyjnym. System instytucji powołanych do wychowania młodzieży zmaga się z ciężkimi problemami funkcjonalnymi. Inspirowane ogólnie przez organizacje młodzieżowe i naszpikowane elementami formalnymi akcje przynoszą boleśnie mało rezultatów.

Pewna część napięć w kołach młodzieżowych wiąże się z codziennym bytem, zwłaszcza z samodzielnym startem życiowym i zakładaniem rodziny. Dochody młodzieży za taką samą pracę przeważnie daleko odbiegają od dochodów starszych. W momencie startu zawodowego szczególnie uwidaczniają się różnice między dochodami absolwentów wyższych uczelni, a ich rówieśnikami — robotników wykwalifikowanych. Wyrównanie tych różnic następuje dopiero w czterdziestym roku życia. Tendencje wzrostu wykazują również różnice w dochodach rodzin obarczonych dziećmi a bezdzietnymi.

Jak wynika ze słów Huszara, największym problemem młodzieży jest sytuacja mieszkaniowa. 84 procent młodych rodzin bezdzietnych i 35 procent mających dzieci nie dysponuje samodzielnym mieszkaniem. Dalsze 10,5 procent rodzin z dziećmi mieszka w pokojach sublokatorskich lub u rodziny. Ci, którzy nie widzą realnych perspektyw zdobycia mieszkania czują się „ludźmi bez przyszłości”. (PAP)

WOJCIECH STANKIEWICZ

SZSP przed rozbiorem

Jakie studenci mają interesy i kto powinien ich bronić

Czego szukamy, czego chcemy, w zgodzie z jakimi wartościami pragniemy żyć i o jakie walczyć?

Nielatwo prowadzić dyskusję o nas samych i naszych problemach, o uczelni i ruchu studenckim. Przebiega między nami wiele podziałów — ideowych i politycznych. Podzieliliśmy się na aktywnych i na tych obojętnych; na szukających dialogu i tych nieolerancyjnych. Tacy jesteśmy, takie są studenckie realia. Ale też prawdą jest, że uczymy się razem w tych samych uczelniach, dostrzegamy w tej samej tradycji, tego samego kraju, w swoim przeważnie środowisku. Dlatego widzimy sens i konieczność poszukiwania tego, co dla nas, studentów wspólne.

Tocząca się dyskusja na temat młodzieży, jej aspiracji, perspektyw i miejsca w społeczeństwie dotyka także kwestii przyszłości ruchu studenckiego. Ten nurt dyskusji szczególnie silnie rozwija się w samym ruchu studenckim, dając o sobie znać w różnych formach. Po odwieśnięciu SZSP rozpoczęła się wśród różnych grup aktywność dyskusyjna nad kształtem organizacji. Zmienione warunki wyzwały mechanizmy adaptujące związek

do powstałej sytuacji. W ramach SZSP rozpoczęły funkcjonować platformy, będące propozycjami programowymi i strukturalnymi, wyrażające poglądy poszczególnych grup działaczy na temat przyszłości SZSP, charakteru tej organizacji i jej miejsca w ruchu studenckim.

Pierwszą platformą już po odwieśnięciu SZSP w marcu 1982 r. była powstała w Warszawie — Platforma Socjalistycznej Młodzieży Akademickiej „Życie”, o radykalnie wręcz ortodoksyjnie lewicowej orientacji politycznej. Jej powstanie zaktywizowało pozostałe środowiska. W bardzo szybkim tempie powstawały inne platformy, m. in.: platforma na rzecz utworzenia Nowej Organizacji Akademickiej w Krakowie, Platforma „Hybrydy” w Warszawie, Ośrodek Programowania Nowej Organizacji Studenckiej na Uniwersytecie Warszawskim, Platforma Grupy Twórczej Zrzeszenia w Poznaniu, Platforma „Dziwięciu” we Wrocławiu, Lubelski Front Lewicy Akademickiej, Ruch Obrony SZSP i wiele innych. Niektóre z nich skupiały po kilkanaście, niekiedy kilkadziesiąt osób. Na ogół wszystkie grupy studentów skupionych wokół

platform zgadzają się co do konieczności zmian w ruchu studenckim. Niektórzy przedstawiciele platform proponowali przekształcenie SZSP w organizację ideowo-polityczną. Dominowała jednak tendencja do zbudowania od podstaw lub też w wyniku przekształcenia SZSP — organizacji o charakterze społeczno-zawodowym która dbałaby o społeczne interesy studentów niezależnie od ich przekonań politycznych. Światopoglądowych itp. Obok tej masowej w założeniu organizacji studenckiej, nawiązującej do tradycji dawnego Zrzeszenia Studentów Polskich, mogłoby istnieć wiele innych organizacji ideowo-politycznych, turystycznych, sportowych itp. Obecnie najczęściej wypowiada się opinię iż przyszły model ruchu studenckiego powinien przypominać tak zwana triadę złożoną z: organizacji społeczno-zawodowej; organizacji ideowo-wychowawczej; samorządu studenckiego.

Panuje jeszcze rozbieżność zdań co do zakresu działania nowych organizacji studenckich, w szczególności między organizacją ideowo-polityczną a organizacją społeczno-zawodową. Najwięcej kontrowersji budzi problem zasadniczy:

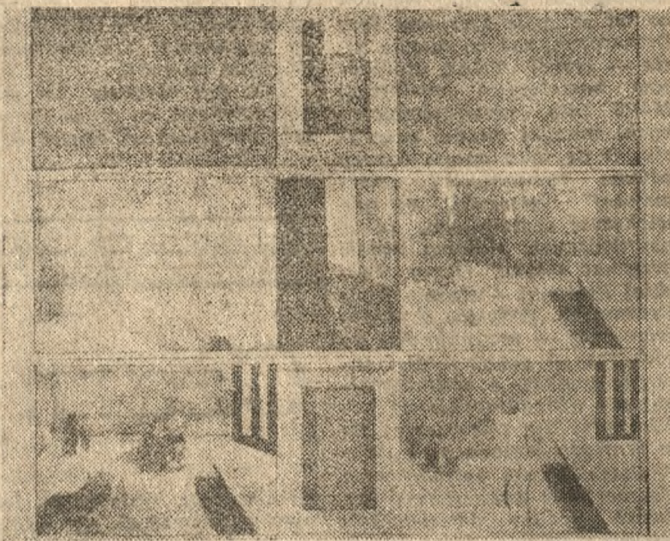
czym powinno być SZSP po IV Zjeździe? Czy organizacją o charakterze społeczno-zawodowym, ideowo-wychowawczym, czy też pozostać organizacją w formie istniejącej dotychczas, a więc łączącą funkcje zawodowe z ideowo-politycznymi? O tym zadecyduje już Zjazd, który odbędzie się między 18 a 21 listopada 1982 r.

Osobiście jestem przekonany, że powinna to być organizacja samodzielną kadrowo i programowo. Podstawowym jej zadaniem musi być walka o interesy młodzieży akademickiej; powinna też czynić wysiłki, aby w maksymalnym stopniu utrzymać dotychczasowe, pozytywne dorobek stwarzając możliwości działania tym wszystkim studentom, którzy chcą zrobić coś więcej niż tylko uczeszczać na zajęcia, wykorzystując ich potencjał intelektualny i zdolności organizacyjne. Przede wszystkim, co warto raz jeszcze podkreślić, powinna walczyć o interesy swoich członków.

LESŁAW CIESIOŁKA

Autor jest członkiem Klubu Dziennikarzy Studenckich.

MŁODA PLASTYKA



„Miejsco, rzeczy i ludzie” — olej, akryl

Bogdan Wojtasiak urodził się w roku 1952 w Drawsku. W 1977 roku uzyskał dyplom z malarstwa w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu; na uczelni tej obecnie jest pracownikiem naukowym. Uprawia malarstwo i rysunek. Bierznie udział w wystawach m. in. laureatem konkursu malarstwa im. Jana Spychalskiego i konkursu na grafikę i rysunek im. Jana Wroneckiego.

W swoim malarstwie Bogdan Wojtasiak podejmuje podstawowy problem plastyki — problem przestrzeni. Obrazy Wojtasiaka, dużej formatowe, o wyrazistej okrojonej kolorystyce, traktują wszakże problem przestrzeni w jej aspekcie filozoficznym, dotycząc samego faktu możliwości bycia sztuki. Malarstwo to należy do powołań najbardziej intrygujących myślowo w młodej plastyce polskiej. (bran)

POGLĄDY I OBSERWACJE

„Stopień szkolny, który miał być dopięciem do nauki stał się narzędziem demoralizacji. Tak, demoralizacji, bo wypaczone zostały sam sens nauki. Szkoła nie potrafiła wypracować żadnej motywacji do nauki poza dość trywialnym systemem kar i nagród. Bo dia stopnia wykonuje się różne manewry, nie zawsze całkiem uczciwe, bo „na stopień” umie się zawyżyć tylko do najbliższej klasówki i wreszcie — dla stopnia w ogóle bierze się podręcznik do ręki”.

Anna Mazurkiewicz „Filipinka” nr 12

„Nasi koledzy na ogół nie chcą słuchać żadnych argumentów, ludzi próbujących normalnie rozmawiać nazywają kolaborantami, co jest bardzo przykre. Nikt nigdy nie zapytał mnie i innych, dlaczego należymy do ZSMP. Mimo wszystko uważam, iż musimy zamaryć obecność naszej organizacji na uczelni, żeby ZSMP miał znaczący wpływ w swych szeregach”.

Waldemar Pasut „Gazeta Młodych” nr 44

„Prawdziwe wychowanie nie polega przecież na nieustannym świadczaniu usług dziecku, usuwaniu każdej przeszkody, jaką napotyka. Celem wychowania musi być nauka pokonywania trudności, umiejętność obciążenia siebie i pomocy dla innych. Nie uzyskamy tego, robiąc wszystko za dziecko”.

Wojciech Siesieliński „Przyjaćielka” nr 29

„Jeszcze sporo jest na polskiej wsi dogmatycznych rodziców, którzy zawsze wiedzą najlepiej, bo to „mój ojciec tak robił, tak robił dziadki i ty rób jak ci mówię”. Aże na szczęście spora część doświadczonej gospodarki bierze się z osiągnięciami nauki we współczesnym rolnictwie i zeskawia synom na próby. A ci najodważniejsi, najbardziej idący z duchem czasu, oddają ster młodemu, żywcem pomagając we wszystkim”.

Prof. Dyzma Gałązka „Mogący rodzinny” nr 162

„Wszelkie próby dyskusji na temat wariety, czy też niewariety są tłumione przez moich bliskich, a brakuje im kogoś, kto mógłby podzielić moje poglądy na powyższe zagadnienia”.

Beata w liście do „Razem” nr 27

„Musicie sami sobie wierzyć, odrzucić podszepty i pogródki, wmanipulowanie, że ktoś stoi z założonymi reklamami, ten jest lepszy, tracie swój czas, nie dajcie się wmanewrować w bierność, w wieczne czekanie, w kibicowanie. Coś małego, ale zrobione samodzielnie, dla siebie, i może też dla innych, daje siłę, wiarę w możliwość”.

Jerzy Jaskiernia „Młodych” nr 28

Na początku jest pomysł. Potem powstaje scenariusz. I od tego momentu rozpoczyna się długa i skomplikowana droga, którą powstający film musi przebiec w Telewizyjnym Studio Filmów Animowanych, abyśmy mogli ujrzyć go na ekranie.

Mówi się, że film animowany nie jest sztuką obrazów, które się poruszają, ale sztuką narysowanych ruchów. „Ożywianie” rysunku, wycinanki, zdjęć fotograficznych, kukielek — czyli nadawanie ruchu martwym w swej naturze elementom nazywa się właśnie animacją. Podczas realizacji filmu dokonuje się na taśmie filmowej pojedynczych zdjęć nieruchomych scen i sekwencji, zmieniając nieco między kolejnymi zdjęciami ich położenie i uzyskując w ten sposób w czasie projekcji złudzenie ich ruchu. Tak można nalogicznie określić istotę tworzenia animacji.

Ala sprawa pozornie tylko wydaje się prosta. W rzeczywistości wymaga ona ogromnego wysiłku, benedyktynskiej wręcz pracy całej grupy ludzi — reżysera, plastyków, animatorów, dekoratorów, kopistów, malarzy, operatorów obrazu, dźwięku, itd. Po zatwierdzeniu scenariusza do realizacji rozpoczyna się etap przygotowania — reżyser pisze scenopis literacki. Równoległe prace je projektant plastyczny — powstają wtedy propozycje postaci i dekoracji. Etap przygotowawczy kończy scenopis obrazkowy będący rozwinięciem scenopisu literackiego. Zawiera on także projekty plastyczne, opis efektów dźwiękowych oraz czasowe rozpisanie poszczególnych ujęć.

Jeśli film ma być dialogowy to

Jak się to robi

Dla dorosłych i dla dzieci

przed kolejnym etapem animacji — nagrane zostają dialogi oraz część muzyki (jeśli nagranie jest presynchroniczne), po czym następuje punktowanie taśm czyli, upraszczając, zaznaczanie na taśmie poszczególnych dźwięków. Kolejną czynnością jest napisanie „recepty” dialogowej dla animatora, a więc opisanie, w której sekundzie filmu występuje dialog. Jest to sprawa niezwykle istotna dla animatora, gdyż, jak wiadomo — każdemu wyrazowi towarzyszy określony układ ust postaci. Dopiero teraz rozpoczyna się właściwa animacja polegająca na rysowaniu kolejnych faz ruchu postaci czy przedmiotów występujących w filmie. Zaden tworca jakiegokolwiek innego gatunku filmowego nie jest w stanie zrobić tego, co może uczynić animator z pomocą rysunku animacji. Może on bowiem swobodnie operować deformacją postaci, na największe możliwości kreowania ruchu, łatwą jego kontrolę. Aby jednak zostać animatorem potrzeba dużych zdolności, nie tylko artystycznych, lecz także wyczuć rytmu ruchu, czasu. Animator to zawód, którego nie można nauczyć się w szkole — żaden bowiem rodzaj szkolnictwa w Pol-

sce nie przewiduje kształcenia animatorów.

Po rozrysowaniu treści filmu na kalkach realizator pisze „receptę” animacyjną określającą m. in. ilość klatek przeznaczonych na dany rysunek. Na jej podstawie operator kółką później zdjęcia. Etap ten kończą zdjęcia kontrolne pozwalające określić poprawność animacji, odpowiedzieć na pytanie czy postacie ruszają się zgodnie z intencją reżysera, czy całość filmu zgodna jest z określonym stylem.

Po zakończeniu animacji rozpoczyna się bardzo czasochłonna praca wykonywana ręcznie etap kopiowania i malowania celuloidów oraz prace dekoratorskie. Na celuloid przenosi się rysunki zrobione poprzednio przez animatora. Malowanie czy wypielnianie konturów, odbywa się zgodnie z barwami zaprojektowanymi przez plastyka. Mieszanie kolorów w celu uzyskania potrzebnej barwy, przy jednoczesnym zapewnieniu odpowiedniej gęstości farb, to zadanie miksera farb. Równoległe do kopiowania i malowania prace dekoratorskie rozrywająca, zgodnie ze scenopisem i zabezpieczając reżysera, dekoracje użytkowe przeznaczone do poszczególnych

ujęć. Również ta praca jest pracą ręczną, a więc wymaga od jej wykonawców talentu, ogromnej precyzji, wysiłku i nakładu czasu.

Kiedy zakończą swoje prace kopista, malarz i dekoratorzy, — a pamiętać należy, że do 20-minutowego filmu wykonanie trzeba około 18 000 celuloidów — rozpoczyna się okres zdjęciowy.

Rejestracja ruchu, przygotowanego wcześniej na oddzielnych celuloidach, odbywa się za pomocą kamery poklatkowej umożliwiającej kolejne fotografowanie poszczególnych faz ruchu (wrażenie pełnego ruchu uzyskuje się dopiero w czasie projekcji). W ten sposób powstaje kopia robocza filmu, będąca podstawowym materiałem do montażu obrazu. Z niej dopiero montażysta wraz z reżyserem kształtuje ostateczny obraz filmu. W następnym kolejności montuje się dialogi, muzykę i efekty akustyczne, po czym — w odpowiednich proporcjach, tak, aby jeden dźwięk nie zagłuszał drugiego — następuje zmieszanie dźwięków z trzema taśmami na jedną zgodnie z obrazem czyli zgranie. Prace nad filmem kończy „ścisłość” negatywa, wykonanie zapisu optycznego dźwięku, a następnie kopii wzorcowej oraz kopii pokazowych.

Tak, w dość znaczącym sprężeniu, wygląda tworzenie filmu animowanego, filmu kulturowego nie tylko przez dzieci, ale także przez dorosłych. Popularność jego jest wynikiem skondensowania wypowiedzi, ożywionej, dynamicznej grafiki, niespotykanej w innym gatunku filmowym zagęszczenia akcji i przyspieszeniu ruchu.

A. P.

Trudno w tym roku w Klubie Żeglarskim Politechniki Poznańskiej snuć morskie opowieści. Stan wojenny ograniczył również uprawianie żeglarstwa. Morze do końca lipca było zamknięte dla żeglarzy. Pewnie dlatego tym silniejsze są wciąż wspomnienia zakończonej rok temu, największej dotychczas, poznańskiej wyprawy żeglarskiej KUBA 80/81, której patronowała redakcja „Głosu Wielkopolskiego”. Dziś o rejsie rozmawiamy z Dariuszem Kubickim, absolwentem informatyki Politechniki Poznańskiej, a jednocześnie jachtowym kapitanem żegluga bałtyckiej i kierownikiem organizacyjnym wyprawy.

— S/y „Joseph Conrad” opuścił Gdynię 6 listopada 1980 roku, ale przygotowania do tej wyprawy rozpoczęły się przecież dużo wcześniej...

— Tak. O zorganizowaniu dłuższego rejsu myśleliśmy już jesienią 1979 roku. Początkowo planowaliśmy opłynąć Afrykę, później padła propozycja przepłynięcia Atlantyku i stał się hasło wywoławcze całej imprezy: KUBA 80/81. Wybór padł na Kubę ze względu na kontakty, które Politechnika Poznańska utrzymuje z Politechniką Hawańską. Przygotowania do wyprawy, organizowanej przez Środowiskową Radę Żeglarską AZS SZSP w Poznaniu, przy dużej pomocy BPiP „Almatu”, rozpoczęły się na początku 1980 roku, kiedy już wiedzieliśmy, że otrzymamy na nią jacht ZG AZS „Józia”, bo tak nazywaliśmy jacht między sobą, pożyczono nam za darmo pod warunkiem przeprowadzenia jego remontu po pożarze z 1979 roku. Przygotowaniom do wyprawy poświęciliśmy wszyscy całe nasze wakacje. A pracy było bardzo dużo — od remontu jachtu rozpoczynając, a na zatwierdzeniu formalności paszportowo-wizowych kończąc.

— Czy polski jacht na Karaibach wzbudził sensację?

— Bandera polska, po wydarzeniach sierpniowych była wtedy już bardziej znana niż kilka lat temu. Sensacji oczywiście nie wzbudzaliśmy, jakkolwiek w wielu portach towarzyszyło nam dość duże zainteresowanie. W czasie naszego rejsu na Morzu Karaibskim spotkaliśmy dwa polskie jachty: na Barbadosie — s/y „Basset” z Warszawy i w Meksyku — s/y „Asterias” z Politechniki Gliwickiej.

— W ciągu prawie 11 miesięcy rejsu na pewno spotykaliście na swej trasie ciekawych ludzi. Czy utkwiło ci w pamięci jakieś szczególne spotkanie?

— Na pewno były to spotkania z polskimi

jachtami i z polskimi statkami, a także ze statkami obcych bander. Przekonaaliśmy się, że nadal istnieje solidarność ludzi morza bez względu na to, z jakiego kraju pochodzą. Nigdy nie spotkaliśmy się z odmową, gdy poprosiliśmy o pomoc czy to przy remoncie jachtu, czy przy uzupełnianiu map, żywności lub paliwa. W ten sposób nawiązywały się serdeczne, choć siłą rzeczy krótkotrwałe, przyjaźnie. Jednym z ciekawszych spotkań, jeśli chodzi o załogi jachtów, było spotkanie z załogą s/y „Outlaw” w Funchal na Maderze. „Outlaw” był dużym jachtem zachodnio-niemieckim płynącym pod banderą maltańską i spełniającym rolę domu poprawczego pod żaglami. W trakcie półrocznego rejsu około 20 chłopcami opiekuje się 4 pedagogów i 4 żeglarzy zawodowych. Na jachcie odbywają się zajęcia szkolne, a jednocześnie trwają normalne prace żeglarskie.

— Po drugim etapie wyprawy, w czasie którego przebywali z nami plutonurkowie z Poznańskiego Klubu Działalności Podwodnej, powiedziały, że zaczynasz rozumieć żeglarzy, którzy rzucają żeglarstwo dla nurkowania. Dlaczego?

— Uważam, że nawet ludzie, którzy nurkują, a nie nurkowali nigdy w fantastycznie czystych wodach południowych nie potrafia docenić piękna tego sportu, którego, niestety, nie da się opisać słowami. Bardzo bogata flora i fauna podwodna, fantastyczna gama kolorów sprawiają, że przed zejściem do tego podwodnego świata nie potrafili powstrzymać

nas nawet niebezpieczeństwa czyhające na nurków każdej chwili, czy to w postaci rekinów i barrakud czy też parzących roślin. Żeglarstwo i nurkowanie to dwa różne sporty. Żeglarstwo jest sportem bardziej statycznym, w którym emocje są rozłożone w czasie na przykład — przepłynięcie oceanu. Natomiast w nurkowaniu właściwe przeżywanie jest bardzo krótkie — najdłuższe zejście pod wodę nie trwa nigdy dłużej niż godzinę. Ale tak jak w żeglarstwie istnieje solidarność ludzi morza, tak w nurkowaniu istnieje żelazna reguła, że pod wodę nigdy nie schodzi się samemu. Podczas II etapu wyprawy byłem rzeczywiście pod wrażeniem tego sportu, ale wystarczyło pozełgować z powrotem, aby na nowo ujrzeć uroki żeglarstwa. Dziś, z perspektywy roku, uważam, że żeglarstwo znakomicie da się powiązać z nurkowaniem — zwłaszcza na rejsach północnych.

— Po emocjach związanych z nurkowaniem czekały już was następne — żegluga w Trójkącie Bermudzkim...

— Trójkąt Bermudzki przepłynęliśmy w poprzek — z Bahamów na Bermudy. Oczywiście była to żegluga z dreszczykami emocji, tym bardziej że najbardziej czytany książką na jachcie była „Nie tylko Trójkąt Bermudzki” Niekrasza. Specyfika żeglugi w tym akwenie jest zupełnie inna niż gdziekolwiek indziej. Nie było prawie nocy, żebyśmy nie widzieli, najdalej w zasięgu horyzontu, blyskawic. Przez cały czas żegluga towarzyszyły nam zmienne wiatry, których nie można było przewidzieć. Często spotykaliśmy burzowe szkwały z silnymi ulewami i siłą wiatru dochodzącą do 8 stopni w skali Beauforta. Również w Trójkącie Bermudzkim spotkała nas najpoważniejsza awaria — maszyny sterowej.

— Wyprawa podzielona była na trzy etapy — z wymaganą załogą w Hawanie. Ty i dwóch twoich kolegów z Klubu Żeglarskiego Politechniki Poznańskiej wzięliście udział w całym rejsie. Czy zgodzicie się z opinią, że nie ma długich rejsów załogowych bez kłótni i swarów na jachcie?

— Długi okres przebywania ludzi na małej powierzchni jachtu sprzyja oczywiście powstawaniu konfliktów. Podstawowym problemem staje się umiejętność znalezienia odpowiedniego stosunku do emocji, które ogarniają wtedy wszystkich. Nie mam zamiaru ukrywać, że w naszym rejsie występowały mniejsze czy większe tarca, ale najważniejsze są dobre wrażenia, które rejs pozostawił. Z przebiegu rejsu możemy wyciągnąć wnioski na przyszłość, a wśród nich naczelny, że należy każdemu dać możliwość wykazania się pracą przed rejsiem, co jest gwarancją jego właściwego uczestnictwa w wyprawie.

Bożna ANNA PLEŚNER

Powiew wspomnień z Trójkąta Bermudzkiego

Kto Mount Everestem, a kto głęboką depresją polskiej estrady, czy ścisłej — muzyki zwaną rozrywkową? Każdy z nas ma zapewne swoje typy. Jeden na przykład ze stołecznych publicystów postawił niedawno na szczycie szczytów Ewę Demarczyk, zaś na niższym poziomie — zespół „TSA”, ulubieńców nastoletnich wielbicieli MMG (dla niewtajemniczonych: muzyki młodej generacji). O ile taka opinia oburzy pewnie sympatyków „mocniejszej” piosenki, o tyle większość czytelników, także najmłodszych, skłonna będzie przyznać miano Damy Polskiej Piosenki — właśnie Ewie Demarczyk. Artystce o niedoścignionej — przynajmniej do tychczas — oryginalności interpretacyjnej i nadzwyczajnej sile oddziaływania na publiczność. Nie mieszczącej się w utartych kanonach i „szufladkach” sztuki estradowej, a cieszącej się niezmiennie od dwóch prawie dziesięcioleci ogromną estymą, omal uwielbieniem wśród setek tysięcy odbiorców. Kolejnym tego po twierdzeniu stały się niedawne występy w Poznaniu. Zważywszy rodzaj repertuaru — to wręcz fenomen.

A pomyśleć, iż niewiele brakowało, by Czarny Anioł się nie narodził, lub by — w najlepszym przypadku — kunszt Ewy Demarczyk znali bardzo nieliczni. Oto bowiem tuż przed przełomowym dla niej, otwierającym wielką karierę występem na festiwalu „Opole-63” zdecydowała się... uciec z tego miasta i imprezy. Organizatorzy nie zapewnili jej bowiem wystarczającego czasu na próby, a orkiestrze nie

w głowie było tracenie czasu na ćwiczenie dzinacznych wymyśłów (na przykład podrabiania dźwięków dzwonów) debiutantki i „jej” kompozytora — Zygmunta Koniecznego. Piotr Skrzynecki pomógł nawet kładł się na dworcowym peronie, aby skłonić Ewę do pozostania i zaśpiewania. Wiedział, co robi.

Tak, jak niewiele lat później wiedział, co czyni sławny szef paryskiej „Olympii” Bruno

walse brülante” i te „Anioły” z poezją Dymnego, z których zaczerpnięto jej artystyczne przezwanie, szybko przemienione w impresaryjny slogan. Nie byłoby jednak pewnie tego wszystkiego, gdyby nie... skromny saksofonista Przemysław Diakowski. On pierwszy zachwycił się śpiewem 20-letniej wówczas studentki o nazwisku Demarczyk. W krakowskim kabarecie medyków „Cyrulik”, dokąd następnie

ię najpopularniejszą i zanosze w języku oryginalnym. Mimo że znaczna część jej programu — w sumie nie przekraczającego chyba 40 utworów — pozostaje od lat niezmienna. (Nawiasem mówiąc: nad „doszlifowaniem” jednej piosenki potrafi pracować i dwa lata).

Ale ludzie wciąż chcą słuchać „Grande walse” czy „Wierszy” — Baczyńskiego; nadal przeżywać te nieopoutarżalne, mistrzowskie interpretacje, które wzruszają, wywołują dreszcze, lecz i refleksje, rozbudzają uczucia czy wręcz porażają ładunkiem emocji. A omal stałym finałem recitali są huraganowe owacje publiczności na stojąco.

Gdyby tak jeszcze polska „Madonna tych lat”, jakże wciąż — mimo wielkiej sławy — tajemnicza i nieznaną (być może nie wszyscy wiedzą, że jest absolwentką krakowskich szkół muzycznych w klasie fortepianu, tamtejszej uczelni teatralnej, a także ukończonym... architektem) chciała występować nieco częściej — wdychając ci, którym nie udało się jej dawno ustuszczyć „na żywo” — Lub choćby więcej nagrywać — powiadają skromniejsi w wymaganiach.

I jednym, i drugim oraz wszystkim pozostałym czytelnikom pozostaje mi życzyć sześciu w zdobyciu dwupłytowego albumu Demarczyk (to jej drugi zapis fonograficzny w Polsce) z recitalu w stołecznym Teatrze Żydowskim. Niejednego „wątłpiacego” przekonają owe krążki, iż nie taki straszny ten... Anioł. Choć — Czarny.

WOJCIECH NENTWIG

Ktoś Struny Słogno trąca

Czarny Anioł

no Cocatrix, padając po jednym z pierwszych tam recitali na kolana przed Demarczyk i tak okazując swe uznanie dla jej sztuki.

Taka to jest ta krakowska Ewa; uparta i stanowcza, nie interesująca się żadnymi kompromisami, układami czy ułatwieniami, krocząca w swych poczynaniach jakby wbrew „prawom” estradowym.

Kluczem do błyskawicznej, oszalamiającej nawet samą bohaterkę, międzynarodowej kariery: recitali w najważniejszych salach koncertowych świata, do których zupełnie incydentalnie zaprasza się nie-wykonawców „muzyki poważnej”, okazało się owo „Opole”. Ten niezapomniany Tuwimowski walc „Grande

zaprowadził Zygmunta Koniecznego i Piotra Skrzyneckiego. Ci natychmiast „ściągnęli” czarnowłosą dziewczynę do „Pionierów pod Baranami”. Reszta jest już pewnie znana wszystkim, którzy choć trochę interesują się piosenką; druga nagroda na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie (bo „Madonny” Miłona Białoszewskiego nie były dla jurorów wystarczająco dobrym utworem), zwycięstwo w Opolu, Sopot, Paryż, nowojorska Carnegie Hall... Już nie tysiące, lecz miliony wielbicieli sztuki Czarnego Anioła pod różnymi szerokościami geograficznymi.

Repertuar Demarczyk jakże daleki jest od przebojowego. Śpiewa poezję, zazwyczaj nie

**Ani
zdrowia
ani
medali**





Fot. — R. Królik

Gdyby mnie ktoś spytał, w jakiej dziedzinie życia w Polsce występują największe paradoksy, odpowiedź w wahania, że w sporcie. Jesteśmy przecież w nim uznani w świecie potęgą. W najpopularniejszej dyscyplinie — piłce nożnej wywalczyliśmy trzecie miejsce; w zapasach w stylu wolnym trzech naszych reprezentantów okazało się najlepszymi na kuli ziemskiej; złote medale zdobyli dwaj ciężarowcy, bijąc rekordy świata. Ograniczę się tylko do wymienienia sukcesów odniesionych w ostatnim czasie. Na czym więc polega ów paradoks? Na tym, że w kraju mogącym poszczycić się tyloma osiągnięciami w sporcie wychowawczym, w szkołach trzeba będzie odwoływać lekcje wychowania fizycznego z braku sprzętu niezbędnego do ćwiczeń.

Kiedy uczęszczałem do szkoły średniej, na lekcjach wf należało mieć czarną koszulkę i czerwone spodnie. Na studiach obowiązywały barwy biało-zielone. Dzisiaj podobne „fanaberie” prowadzącym wf do głowy nie przychodzi, a nauczyciele są zadowoleni jeżeli uczeń nie stanie przed nimi nago. Zresztą strój nie jest sprawą najistotniejszą, bowiem ćwiczyć można i bez koszulek, a majtki każdy jeszcze jakieś w domu ma. I choć przypominają to będzie „pogolite ruszenie”, zajęcia mogą się odbywać. Znacznie gorzszą jest natomiast sytuacja z obuwem sportowym, czyli w języku potocznym — tenisówkami i trampkami. Nie dość, że są drogie (cena jednej pary w granicach 500 zł), to jeszcze nie ma ich w sklepach.

Uczestnicząc niedługo w konferencji prasowej z przedstawicielami Szkolnego Związku Sportowego spytałem, jakie widzą wyjście z tej sytuacji. Co należy zrobić, by zapewnić młodzieży choć 2 godzinny ruch tygodniowo. Usłyszałem, że sytuacja rzeczywiście jest zła, szanse na jej polepszenie nikłe i trzeba sobie radzić w inny sposób. Na przykład na sali ćwiczyć boso, bądź organizować zimną zajęcia na wolnym powietrzu. Obie propozycje kryją jednak w sobie wiele niebezpieczeństw. Gdyby lekcje wychowania fizycznego ograniczyć tylko do gimnastyki, to rzeczywiście brak obuwia nie jest przeszkodą. Rzecz jednak w tym, że gimnastyka nie jest przez młodzież lubiana, zaś uprawianie boso cieszących się znacznie większą popularnością gier zespołowych jest niebezpieczne. Bardzo łatwo o kontuzje i zajęcia wf mogą przynieść zupełnie odwrotny skutek. Zamiast podnieść sprawność — powodować urazy. Zabawy w otwartym terenie, to pomysł dobry, ale nie w sytuacji, gdy buty kupuje się na talony i to tylko jedną parę rocznie. Gdyby więc moje dziecko stanęło przed podobnym dylematem, choć jestem gorącym zwolennikiem wychowania fizycznego, rzekłbym mniej więcej tak: „Hasaj sobie po śniegu i le zachęsz, ale pamiętaj, że jak zniszczysz buty to będziesz chodzić w sandałach”. I większość rodziców myśli podobnie.

Jak znam życie, sporo będzie takich szkół, w których czas przeznaczony na wychowanie fizyczne wykorzystany zostanie na pogawędkę o sporcie, zapoznanie uczniów z przepisami poszczególnych dyscyplin lub nawet na sprawy z kulturą fizyczną nie mające nic wspólnego. Komentować takich zdarzeń nie zamierzam. Przypomnę jedynie, że stan zdrowotny naszej młodzieży wcale nie jest zadowalający, a zaniechanie ćwiczeń bynajmniej nie wpłynie na jego poprawę.

Ktoś mniej zorientowany pomyśli: „No tak. W szkołach dzieci nie mają w czym ćwiczyć, lecz u sportowców sprzętu pod dostatkiem. W kraju wszelkie rozrywki toczą się normalnie, startujemy za granicą, uczestniczymy w zawodach mistrzowskiej rangi, ba, zdobywamy nawet medale”. Owszem zdobywamy. Jeszcze. Ale wykluczyć nie można, że za kilka lat miast odbierać medale będziemy odbierać lanie, medale zostawiając innym. W klubach sportowych bowiem sprzętem jest podobnie jak w szkołach. Jeszcze wprawdzie każdy z nich dysponuje pewnymi rezerwami, co pozwala kontynuować działalność, ale i zapasy z czasem się wyczerpią. Dostawy sprzętu są zaś znikome. By nie być gołosłownym przytoczę dane, ile otrzymały kluby i związki sportowe w pierwszej połowie bieżącego roku. Na zamówionych 3000 floretów — 50, na 2000 rekawic bokserskich — 30, na 10 000 ortopedycznych ubrań treningowych — 2 (słownie — dwa!), na 42 000 koszulek sportowych — nieco ponad 2000.

Już dzisiaj w dyscyplinach, w których sprzęt odgrywa znaczącą rolę, jak na przykład w kolarstwie czy żużlu, systematycznie tracimy dystans do czołówki światowej. Wkrótce liczba tych dyscyplin znacznie może się zwiększyć.

WIESŁAW ŁUCZAK

Dzień, w którym ukazuje się nasz dodatek, jest dniem niezwykłym. Może więc chociaż dzisiaj

**UŚMIECHNI SIĘ
DO SPRZEDAWCY**

bo mu nogi wchodzą w plecy.

W STRONĘ KINA Bunt kobiety

„Sprawa Kramerów” jest filmem o buncie kobiety, która dusi się i mężczy w kołowie domowych obowiązków, a pragnie sprawdzić się w życiu zawodowym i tam odnaleźć własną tożsamość. I tak odebrałem ten film, choć w rzeczy samej opowiada on przede wszystkim o mężczyźnie porzuconym przez żonę, który nagle staje w obliczu nieznanych i niezwykle skomplikowanych obowiązków wobec siedmioletniego synka (żona go nie zabrała) i konieczności pogodzenia tych obowiązków z wymogami wykonywanego zawodu. A jest nasz Kramer wziętym i utalentowanym grafikami pracującym w branży reklamowej w Mekce światowej reklamy, jaką jest nowojorska Madison Av, gdzie obraca się ogromnymi pieniędzmi, ale i wymogi w pracy są też nie byle jakie. Do nich należy między innymi w zasadzie nienomowany czas pracy, co faktycznie oznacza, że trzeba być do dyspozycji dzień i noc. Bo tam liczy się nie tylko jakość wykonania, a wcześniej jeszcze znakomity pomysł, ale i

termin. Kto pierwszy ten lepszy, klient to oceni i zapłaci.

No tak, ale jak ma się znaleźć w tym interesie Kramer? Nagle pozostał bez żony z berbeciem, który ma mnóstwo potrzeb od samego rana, którego trzeba odprowadzić do szkoły, a potem punktualnie z niej odebrać i któremu trzeba zorganizować resztę dnia, nakarmić, oprócz wieczorem zobowiązań, coś mu do snu przeczytać i jeszcze mieć chęć i sily do tego, aby to wszystko odbywało się w atmosferze rodzinnego ciepła, miłości; aby młody człowiek czuł się rzeczywiście w rodzinnym domu, aby miał w nim wszystko, co potrzeba, a to znaczy, że trzeba mu także zrekomensować utratę matki, kochanej, tej której przecież nigdy nie zapomni.

Film jest koncertem gry tej dwójki — taty i syna — wlopieniej we wszystkie drobniaki codziennego życia. Mamy więc okazję poznać mnóstwo detali z życia amerykańskiej klasy średniej, zarówno od strony domu, jak i stosunków w pracy, gdzie dyscyplina, a więc terminowość, punktualność przychodzenia do

pracy, rzetelność stoją tak wysoko w hierarchii wartości i oceny człowieka, że nam, przyzwyczajonym do niesłychanego liberalizmu w tym zakresie, wprost nie chce się w to wierzyć. Kompozycyjnie i od strony aktorskiej jest to więc film po prostu znakomity.

Chciałbym jednak wrócić do sprawy, która w filmie jest jak gdyby na drugim planie, choć jest cały czas obecna i stanowi przyczynę wszystkich zdarzeń. Oto z domu odeszła żona i matka, której pozornie niczego nie brakowało. Miała kochającego męża (choć przeważnie nieobecnego), miała dobry standard życia, udane dziecko. No i... w końcu, poza tym żyła w pustce, której nie potrafiła niczym wypelnic. Kiedyś pracowała, odnosiła sukcesy, była między ludźmi. Teraz znalazła się — w swoim mniemaniu — na pustkowi, niejako odrzucona i skazana już tylko na te cztery ściany i tych dwóch mężczyzn, matkę i dorosłego. Jej to nie wystarczył Rodzi się pytanie czy kobieta ma prawo do takiego podejścia do życia? Nasza cywilizacja w

zasadzie rozdzieliła role. To mężczyzna koncentruje się na zapewnieniu rodziny środków do życia, a więc to on głównie robi karierę zawodową. Kobieta natomiast uzupełnia materialne potrzeby rodziny jakąś tam byle jaką pracą, natomiast koncentruje się na prowadzeniu domu i wychowywaniu dzieci.

Stąd tak mało kobiet na stanowiskach kierowniczych, w polityce, w rządach, wszędzie tam, gdzie nie da się pogodzić intensywnej pracy z pieluchami. Otóż powstaje pytanie czy ten podział ról jest stały czy tymczasowy, czy jego uczestnicy są z nim związani losowo, czy też mają prawo do zmiany ról, choć by płacąc wysoką cenę. Kramerowa nie zaakceptowała wyznaczonej jej roli i zapłaciła wysoką cenę. Czy jej się to opłaciło to inna sprawa. Sądzę jednak, że na film „Sprawa Kramerów” trzeba spojrzeć przede wszystkim jako na ciekawy przykład buntu kobiety wobec naszej obyczajowości.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Jest to niewątpliwym symptomem kryzysu zachodniomocnośnego społeczeństwa. Dziesiątki tysięcy obywateli tego kraju chce emigrować, przy czym z każdym rokiem coraz więcej ludzi zgłasza się do ambasady amerykańskiej, kanadyjskiej czy australijskiej, by „wyjechać za wszelką cenę, z dala od Rosjan, od euro-pocisków i od biurokratów” — pisze dziennikarz z France Presse.

Ci obywatele kraju bogatego, ustabilizowanego i demokratycznego nie mają nic wspólnego z uchodźcami z krajów Trzeciego Świata czy państw Europy wschodniej, którzy chcieliby zapewne zająć teraz ich miejsce. W każdym razie w 1979 roku aż 36 000 obywateli RFN zgłosiło się do ambasady australijskiej w Bonn, aby zasięgnąć informacji, jakie są możliwości wyemigracji; w 1981 roku było ich ponad 125 000. Podobny napływ zainteresowanych notuje ambasada Nowej Zelandii, gdzie w 1979 roku było 250 interesantów miesięcznie, a obecnie około 900.

Choć liczba tych którzy zdecydowali się emigrować jest nadal ograniczona (1981 roku wyjechało 55 000, a więc 0,1 proc. ludności Niemiec Zachodnich), to przecież zjawisko to ujawnia podwójne pragnienie ucieczki z kraju uważanego za „zagroźony militarnie”, jak też zaciecia no-

wego życia gdzieś indziej, gdzie można by „zbudować sobie coś nowego”.

Wydaje się, że punktem zwrotnym był grudzień 1979. „Od tej daty liczba chętnych do emigracji zwiększyła się dwukrotnie” — oświadczył w marcu 1980 roku Gerhard Storbeck, dyrektor biura informacyjnego d/s emigracji w Bremie. Grudzień 1979, to także decyzja NATO o zainstalowaniu

Obawa przed wojną nie jest jedynym motywem emigracji. Trzeba też brać pod uwagę dzwanków, takich jak pewien jubiler z Marburga, który zamierza wyjechać do Kanady bo tylko tam miałby warunki... hodowania papugi. Inni, często osoby w podeszłym wieku, szukają schronienia za granicą, bo w Republice Federalnej „nie ma dnia bez kradzieży, morderstwa, albo zamachu”. Funkcjonariusze służb emigracyjnych zauważyli, że w ponad miliardzie urywają się u nich telefonny, a o wiele mniej jest ich pod koniec tygodnia.

Kandydat do emigracji to w większości ludzie mający wrażenie, iż żyją w zablokowanym społeczeństwie. W ponad 60 procentach są to inżynierowie, technicy kupyki bądź urzędnicy. „Są to ludzie, o których można by powiedzieć, że wszystko przemawia za tym, aby pozostali” — mówi jeden z psychologów z Hamburga.

Kandydat do wyjazdu w 70 procentach mieszczą się w pre-

Uciec za wszelką cenę z RFN

Motywacje są często niejasne